

An oil painting of a monkey's face, looking directly at the viewer with a calm expression. The monkey has light brown fur and large, expressive eyes. It is holding a bunch of purple flowers with green leaves in its mouth. The background is dark and textured with visible brushstrokes.

GABRIELA ZAPOLSKA

---

**Bydłę**

  
wolnelektury.pl



FUNDACJA  
nowoczesna  
Polska



GABRIELA ZAPOLSKA  
MENAŻERIA LUDZKA

# Bydlę

Zaturkotało i na drodze od miasta wiodącej podniósł się tuman kurzu.

Niewielki koczyk<sup>1</sup> zielony, ciągniony przez czwórkę w poręcz sprzężonych koni, stuknął silnie o belkę położoną na poprzek tuż przed chatą Hieronima i ku bramie dworskiej podążył.

Na koźle, w szaraczkowy surdut<sup>2</sup> ubrany stangret i lokaj w długim czarnym anglezie<sup>3</sup>, zetknęli się gwałtownie ramionami, zaklęli i do równowagi wrócili.

---

<sup>1</sup>*koczyk* — rodzaj czterokołowego powozu. [przypis edytorski]

<sup>2</sup>*surdut* — długa dwurzędowa marynarka popularna na przełomie XIX i XX w. [przypis edytorski]

<sup>3</sup>*anglez* — dłuższa odmiana surduta. [przypis edytorski]

Z koczyka tymczasem na obie strony, jak drogowskazy, sterczały dwa olbrzymie cybuchy, ciemne, z fajkami wypchanymi silnie tytoniem.

Pan hrabia i pani hrabina palili w milczeniu, rzucając w jasność liliową wołyńskiej przestrzeni całe kłęby białego dymu.

Pudełko z tytoniem stało na przednim siedzeniu.

Pani hrabina miała płaszczyk i twarz lśniąca od nadużycia gliceryny.

Pan hrabia miał prześliczne turkusowe oczy, wprawione w poźółkłą maskę zgryzionego wątrobiarza<sup>4</sup>.

Koczyk stanął przed bramą.

Lokaj zlął powoli i za wrota pociągnął, pasące się obok stado gęsi uciekło z przerażającym wrzaskiem.

Koczyk próg bramy przestąpił, wstrząsając woźnicą, pudłem, panią hrabiną, panem hrabią i obydwoma cybuchami.

---

<sup>4</sup>wątrobiarz — mężczyzna z chorą wątrobą. [przypis edytorski]

Gęsi, drąc się, leciały wśród masy traw, łopocząc skrzydłami, i hen, aż pod tajemnicze gąszcze ożyn<sup>5</sup> się dostawszy, przypadły do ziemi, zdyszane i srodze zmęczone. Lecz już na ganek dworu powstał ruch i w kredensie Janek, czytający *Resurrecturi*<sup>6</sup> w „Tygodniku Ilustrowanym”, otarł nos w znaczący sposób.

— Czort diabła niesie! — wyrzekł półgłosem.

Znad tapczanu surdut zdjął, poślinił welwetowy kołnierz, na którym łupież silnie przyłgnał, surdut nadział i powłócząc nogami, na ganek podążył.

Już pani sędzina pędziła od strony garderoby, pokrzykując cienko:

— Z Hati! Hrabstwo z Hati!

I szybko odwróciła się do Janka, który melancholijnie spod spadającej hyry na swą panią spoglądał.

— A ty mi się nie upij, bo jak Boga kocham, tak już z tobą koniec zrobię! Słyszysz?

---

<sup>5</sup>ożyy (reg.) — jeżyny. [przypis edytorski]

<sup>6</sup>*Resurrecturi* — powieść J. I. Kraszewskiego. [przypis edytorski]

Janek brwi zmarszczył i za poły surduta obydwoma rękami się schwycił.

— Słyszę, jaśnie pani! — odparł.

Koczyk z głuchym szumem już przed gankem zajechał.

Sędzina wpadła we drzwi prowadzące do głębi dworku, a Janek, ze specjalnym gestem ze stopni ganku schodząc, drzwi wchodowe<sup>7</sup> hrabstwu ukazywał.

— Państwo w domu? — zapytał hrabia.

— Jaśnie państwo są! — odpowiedział lokaj.

Cybuchy i tytoń na rękach lokaja wędrowały już w głąb domu.

— A uważaj, kanalio, abyś cybucha nie przetrącił! — dodał w formie uwagi hrabia.

Nie, to było ponad jego siły!

Musi pójść do karczmy.

Chodzi, chodzi naokoło stołu, pociąga obrus, karbuje sól w solniczce, ustawia garnuszeczki ze śmietanką. Na środku piramida z po-

---

<sup>7</sup>wchodowy — dziś popr.: wejściowy. [przypis edytorski]

ziomek krwawi się plamą purpury wśród zielonych liści. Po obu stronach, na złoconych porcelanowych koszyczkach, rudym tonem znaczą się świeże obwarzanki, cukier miałki piętrzy się piramidką prawie skrzącą w promieniach zachodzącego słońca.

Poprzez okno na wpół otwarte płynie cała taka struga ognista, przecięta smukłością topoli, sterczących dokoła dworu.

Jeszcze bydło z pola nie wraca.

Nie słychać kołatek ani hukania pastuchów poza wodą, hen poza stawem.

Janek ręce po napoleońsku na piersiach złożył i stanął koło okna.

Włożył liliowy atlasowy krawat i włosy jasnoblonde, w których srebrne nici się bielą, olejkiem zlał i z czoła odgarnął.

Czeka, aż kucharz kurczęta z przypadłej opodal dworu kuchenki do kredensu przyniesie.

Wtedy samowar, syczący w kredensie, do jadalni wniesie, na stoliku obok ustawi, otworzy drzwi do salonu i zaanonsuje niskim głosem:

— Podano do stołu!

Tymczasem przecież coś go we wnętrzu ssie jak wąż, a śliny w ustach pełno.

Janek wie dobrze, co to znaczy...

Czczo mu; do karczmy go ciągnie.

A jest ona tam po drugiej stronie stawu, ta karczma cała czarna mimo czerwonej jasności słońca.

Janek drogę tę od lat trzydziestu zna.

Zmienił ją tylko od chwili ożenienia. Trzeba bowiem było ze dworu do karczmy właśnie koło chaty iść, chaty, którą mu jaśnie pani dała, kiedy Warkę z garderoby wziął i z „werczem” do dworu przyszedł.

Pani chatę i Warkę dała, ale Warka darła się o wódkę z Jankiem i zaraz na próg chaty wypadła, za poły surduta chwytła i zawodziła het, jak suka, gdy jej szczenięta odbierają.

Wiedziała Warka, że jaśnie pani ma tego pijaństwa Jankowego dosyć i lada chwila go z kredensu wygna precz.

Tym bardziej że Janek nie pił całe miesiące i tylko, gdy gość się zjawił, wnet do karczmy pędził i za siwuchę<sup>8</sup> chwycił.

A przecież trzydzieści lat już w Horodyszczu przetrwał służąc wiernie, nieposzlakowanie uczciwy, pełen arystokratycznych przesądów, właściwych wołyńskiemu chłopu, cerując dywany i szlafroki pana sędziego, objając sofę w buduarze panny sędzianki, obszywając gościnne kołdry na trawie dziedzińca, kolekcjonując „Tygodnik Ilustrowany”, bijąc Warkę i najstarszą córkę, Paraskę, tyranizując chłopaków kredensowych i leżąc bez pamięci, od czasu do czasu, w krzakach berberysu, które bukietem blaszanych liści i delikatnych jagód wznosiły się na środku dziedzińca.

Pani sędzina nazywała go wtedy „bydlę”. Była to nazwa mniej wykwintna niż dosadna.

Pani sędzina była jednak córką ekonoma. Stąd miała dużo poczuć arystokratycznych wrodzonych!...

---

<sup>8</sup>*siwucha* — wódka. [przypis edytorski]



Lokaj, a zwłaszcza pijany lokaj, był dla niej bydlęciem!

Hrabia mówił na swoją służbę „kanalia”.

Pani sędzina mówiła „bydlę”.

Pani sędzina nie lubiła chłopów i nie wdawała się z nimi w bliższe stosunki. Tolerowała tylko chłopki, gdyż jej przynosiły kury albo jaja, związane w szmaty.

Pan sędzia ciągnął namiętnie starkę<sup>9</sup> rano i wieczorem, a czasem i w nocy.

Pani sędzina znajdowała to naturalnym.

Co innego było z pijaństwem Janka!...

Co wolno panu — nie wolno bydlęciu.

Pani sędzina, mówiąc o pijaństwie męża, mówiła „słabość mego męża”.

Pijaństwo Janka było zbrodnią, nie chorobą.

Lokaj nie mógł być chory!

Organizm jego nie mógł żądać alkoholu.

Janek pijany — był bydlęciem.

Pan sędzia pijany był... słabym!

---

<sup>9</sup>*starka* — odmiana wódki poddawanej leżakowaniu. [przypis edytorski]

Przekonanie to wpoła pani sędzina w War-  
kę.

Dlatego teraz Janek miał schowane w oczerecie<sup>10</sup> czółno i drąg i poprzez staw się do karczmy Szmula dobijał.

Kiedy bowiem szedł przez wieś — a War-  
ka, broń Boże, „cupała” w ogrodzie za chru-  
ściakiem przy burakach albo tytoniu — to po-  
rywała się z wrzaskiem, aż jej medaliki po pier-  
siach dzwoniły.

— A doloć moja, dolo zatracona!... — krzy-  
czała, przez płot przelaząc, rozdzierając spód-  
nicę, zapasę, z „dołami” najeżonymi dokoła  
twarzy jak faworyty<sup>11</sup> pana sędziego.

I był to lament tak wielki, że wszystkie ba-  
by, jakie były w chacie, wypadały na drogę z ko-  
szulami zawiniętymi po kolana, z zapaskami  
ubielonymi mąką, ta od łątania świty, ta od  
przewijania dziecka. Wszystkie otaczały Janka  
i Warkę, łamały ręce, kiwały głowami, a dokoła  
podskakiwały dzieci w zgrzebnych koszulach,

---

<sup>10</sup>*oczeret* — zarośla nadbrzeżne. [przypis edytorski]

<sup>11</sup>*faworyty* — pasma zarostu na policzkach. [przypis edytorski]

czasem zupełnie nagie, z masą jasnych włosów na spiczastych głowach, i kwiczały prosięta zbiegłe ze źle domkniętych chlewików...

Teraz — Janek już potrafił unikać tej gorącej łaźni. Wprost do stawu szedł, w czółno wskakiwał i wodę pruł, aż szumiała. Potem do drugiego brzegu gdy się dobił, to już do Szmula było tylko kilkadziesiąt kroków — i łatwo było się dobrać. Wracał jednak wolniej, na wpół przytomny, potrzebując mało do zupełnego upojenia, rozstrojony zupełnie nerwowo, mając dziwną naturę wtłoczoną w smutne ciało dworskiego służalca, z fantazją przepelnioną wizjami powieści i artykułów, których nie rozumiał w setnej części, z tęsknotą straszłą, wrodzoną Wołyniakom, z tą tęsknotą, co serce z piersi wyrywa za czymś, czego określić na razie niepodobna<sup>12</sup>, co szum sosen, zapach poziomek, krzyk spłoszonej gęsi, skrzyp wrót nagle budzi i potem jak druga dusza w ciele pokutuje, rwie, szarpie, nęka o zachodzie słońca i życia.

---

<sup>12</sup>*niepodobna* (daw.) — nieprawdopodobne a. niemożliwe. [przypis edytorski]

Bydlę miało to wszystko w sobie, to wy-  
cie rozpaczliwe w pustkę, która się powiększa  
z dniem każdym. Jak duch pokutujący, jak trup,  
któremu nie dano mogiły i domowinki uską-  
piono, tak błąkał się Janek od karczmy do dwor-  
ru z „Tygodnikiem” sterczącym brudną bielą  
druku w obciągniętej kieszeni surduta. Włó-  
sy mu posiwiały, twarz o delikatnych rysach  
nerwowego blondyna nabrzękła, oczy zmalowały  
i z jasnoblękitnych zrobiły się żółte. Plecy wy-  
gięły się w kabłąk, ręce jedne pozostawały ner-  
wowe, silne, suche, jakby cała siła woli lokaja  
skoncentrowała się w tych rękach, w których  
była potęga jego pracy. Gdy z krzaków ber-  
berysów podnosił się po okresie<sup>13</sup> pijaństwa,  
zaciskał silnie pięści, jakby próbując, czy cała  
wola pozostała w nim jeszcze, czy nie spływa  
razem z umysłem w ten cień niepochwytny,  
który go otaczał i do karczmy iść kazał.

I — z pięściami jeszcze zaciśniętymi —  
szedł prosto do kredensu, do swego tapczanu,

---

<sup>13</sup>*period* (z łac.) — okres. [przypis edytorski]

na którym wylegiwał się w czasie jego nieobecności Józiek.

— Won, bydlę! — mówił chwytając chłopca za kołnierz — won, pan wrócił!

Kucharz nie dawał znaku życia i tylko z kuchenki dobywał się wąski pasek dymu, który się aż nad drzewa owocowe wznosił.

Janek na lipę pod oknami patrzył i przypominał sobie, którego to było roku, gdy piorun w nią uderzył.

Pan sędzia wtedy do Żytomierza na wybory pojechał.

Ale który to był rok, za nic przypomnieć sobie nie może.

Nagle zakołatało na drodze.

Ha! Ha! A! A!...

Bydło wraca do obór, pastuchy do chat.

Nie widać ich z okna, tylko duża smuga poza stawem się ściele, biała jak wielki kłęb powstającej pary.



I razem z tym jękiem chłopów goniących  
bydło jakaś nieokreślona tęsknota spada na całą  
wieś.

Słońce nie świeci jaskrawo.

Żółte i jakby gasnące zapada coraz niżej.

Coś się nad ziemią snuje, coś jakby widma  
z grobów wstające, szepczące tajemnicę mogił,  
trupich czaszek rozhowory<sup>14</sup>.

Janek określić tego nie umie, rwie się w nim  
tylko coś i w przepaść dąży.

Obejrzał się jeszcze raz ku kuchni.

Nie widzi nikogo.

Zanim kurczęta podadzą, on przez staw prze-  
płynie i powróci.

Wypije tylko jeden kieliszek, jeden tylko,  
aby lepiej służyć do stołu...

Czuje bowiem, że jest cały z waty i na no-  
gach się nie utrzyma.

Wyskoczył przez okno, wpadł w grządkę  
nasturcji, zaklął i jak zając poprzez trawniki po-  
mykać zaczął.

---

<sup>14</sup>*rozhowor* (rus.) — rozmowa. [przypis edytorski]

Do stawu dopadł, do oczeretu, w którym drzemało płaskie, z trochę lśniącą wody na dnie, czółno.

W czółno wskoczył, za drąg porwał, splunął w garść i od brzegu się odepchnął.

W tej chwili ciemny pas jakby od żałobnego całunu na wodę padł.

Janek w pas ten wpłynął i nawet białe smugi, które zwykle czółno po sobie zostawia, krey tej rozjaśnić nie mogły.

Od strony wsi kołatały wciąż drewniane dzwonki i wlokło się jękliwe zawodzenie.

Ha!... A! A!...

Janek w głosy te wsłuchiwał się i czuł, że pod dworskim surdudem, z którego numer „Tygodnika” wystawał, w piersi rwały mu się całe przepaście, ech, na dźwięk tych chłopskich nut.

Ha!... A! A!...

W tej samej chwili z kuchenki Józik z półmiskiem kurcząt wypadł i ku dworowi dążył.

Idąc, mimo woli dziecinnym głosikiem powtarzał:

Ha!... A! A!...

Bose zastępy ku sobie się rwały, ręce łączyły w tęsknocie nieokreślonej, co ku nim spod ziemi płynęła.

Gdy Janek wreszcie z krzaków berberysu powstał i do kredensu się powlókł, zastał tam, oprócz Józika, jakiegoś młokosa ubranego w szary surdut, bez wąsów, z miną wyćwiczonego złodzieja nastawiającego samowar.

Janek do intruza podszedł i ręce wyciągnął.

— Czego to pan się do samowaru miesza?  
— zapytał zaspanym i powolnym głosem.

Lecz nowy lokaj zmierzył go od stóp do głów.

— Jaśnie pani kazała nastawić samowar!  
— wyrzekł i znów, za stary but z cholewą chwyciwszy, koło samowara krzątać się zaczął.

Janek osunął się w kąt i na swym tapczanie przysiadł. Powoli jednak ręce jego namały inną derkę, nie jego własną. Pochylił się i w ukośnym promieniu, idącym z okna, które lipy zaciemniały zupełnie, dostrzegł całą ob-

cą pościel na swym łóżku. Poduszka była z irchy, druga gumowa, wypchana powietrzem, widocznie skradziona lub otrzymana w prezencie. Tylko nad tapczanem rozkładał się jeszcze szmat gobelinu, na którym widać było szerniałe, jak nogi topielca, nogi jakiegoś mitologicznego bohatera i plamę kobiecej purpurowej sukni.

Za obrębem gobelinu zatknięty obrazek z „Tygodnika”, kilka plam, fotografia pana sędziego, stara strzelba, profitka z różowych paciorek służąca za pantofelek do zegarka — wszystko jeszcze było na swoim miejscu, nieruszone i jakby uszanowane.

Janek podniósł się i do okna podszedł.

Tam był zawsze szuwaks<sup>15</sup> i szczotki do butów, ustawione we framudze razem z kałamarzem i gęsimi piórami, które Janek dla pana sędziego temperował.

Pióra znikły, kałamarz także, pomimo tego, że lat dwadzieścia stały na tym miejscu...

---

<sup>15</sup>*szuwaks* (daw.) — czarna pasta do butów. [przypis edytorski]

Janka ogarnęło złe przeczucie. Powoli spode łba spojrzął na młokosa, który samowar już z ziemi podniósł i do pokoju podać się gotował.

Janek kilka kroków postąpił.

— Ja zaniosę!

— Nie trza — wyrzekł ten drugi, nogą drzwi otwierając.

Janek pozostał na środku kredensu, w którym zaczynał zapadać powoli zmrok, przez abażur lipowych gałęzi koło okien rozpostartych.

Nagle w bocznych drzwiach ukazała się pani sędzina.

Miała usta silnie zaciśnięte i oczy zmrużone.

— Niech Janek zabiera swoje rzeczy i idzie precz, zaraz... od dzisiaj!... Jaśnie pan za dwa dni wróci, to się z Jankiem obliczy! Trzeba się mi dzisiaj wynosić, mam już dosyć pijaków w kredensie!

Ręką tłustą i żółtą drzwi ukazywała.

Ręka ta w ciemności kredensu majaczyła przed Jankiem jak plama jasna, obwiedziona dokoła błękitną obwódka.



— Jaśnie pani!... — wybełkotał wreszcie — ja... ostatni raz!...

— Ta, ta, ta!... — przerwała sędzina — już mam dosyć trzydzieści lat takich skandali!... Janek niech się wynosi, bo wyrzucić każę! Janek się wyprostował.

— Jaśnie pani wyrzucać nie ma potrzeby. Ja sam pójdę, choć trzydzieści lat wierniem przy służbie warowałem!

Sędzina parsknęła śmiechem.

— Bo to psi wasz obowiązek! Za pensję i ordynarię<sup>16</sup> jeszcze każdy wierny będzie.

Janek drżał cały, włosy mu na czoło spadły. Cofnął się w cień kredensu i milczał chwilę, wreszcie, jakby chcąc upokorzyć sędzinę.

— W konduktory pójdę!... — wyrzekł zdławionym głosem.

Sędzina ku drzwiom zmierzała.

— Z Panem Bogiem! Właśnie tam na pijaków czekają! A wynoś mi się dziś jeszcze!.. won!... won!...

---

<sup>16</sup>*ordynaria* — część wypłaty dla służby dworskiej wydawana w naturze. [przypis edytorski]

Wyszła.

Janek pozostał sam.

Obejrzał się dokoła i nagle uczuł w sercu ból straszny.

Trzydzieści lat przeżył w tych ciemnych ścianach kredensu, w których zapach razowego chleba miesza się z wonią stygnących na półmiskach tłuszczów. W ciemnicy tej przeszedł życie całe, waląc się w nocy na tapczan, jak kłoda, smutny, wiecznie znękany, zniechęcony do życia, a mimo to bałwochwalczo do tych miejsc przywiązany.

Chata, w której mieszkała jego żona, nie była mu domem, chodził tam w gościnę, w chwilach wolnych, nie pamiętając i nie wiedząc nawet, jakie imiona miały jego dzieci.

Od grzebania się w ziemi i mieszkania w izbie z uklepaną z gliny podłogą odwykł i tylko w kredensie żyć już mógł, w tym kredensie pomiędzy szafą z ubraniami pana sędziego a kantorkiem, w którym chował roczniki „Tygodnika Ilustrowanego”. Dziś mu każą iść precz, nie pamiętając, że on, Janek, ma religię ścian, wspo-

mnień i sprzętów, że on się tu przekołał całe lata, całe noce, całe jesienne wieczory, obrębiając ścierki, wsłuchany w tony fortepianu, na którym uczyła się panna sędzianka i który dzwonił jak szklana kołatka spoza stawu w smudze białej płynąca.

Kazano mu iść „won”, a przecież tam, przez ścianę, jest szafa, w której jest *jego* porcelana, *jego* srebro, *jego* szkło.

Trzydzieści lat myje, ociera, czyści tę całą zastawę... to więc wszystko mu po prostu w duszę wrosło i on tego z siebie wyrwać nie może! nie może!...

A piece! Te wielkie piece wszystkie schodzące się w jednej wielkiej izbie, w którą szedł wczesnym zimowym rankiem, za Józikiem niosącym całe naręczce polan grubych jak ludzkie nogi. On, Janek, niósł świece. Stearyna kapłała mu po rękach, a on przez trzydzieści lat nie oprawił nigdy świecy w lichtarz. Miał takich przyzwyczajień mnóstwo, teraz wszystkie jak mary otoczyły go i za gardło chwytaly.

Nawet ta pani sędzina, która wygnała go tak bezlitośnie, nawet ten pan sędzia, który nie-raz uderzył go w kark i „wysobaczył” po swojemu, nawet ta panna sędzianka zatykająca nos, gdy przechodziła przez kredens, wszyscy oni byli mu teraz drodzy w chwili utraty.

Kochał ich przywiązaniem psa, który nie dość, że dobytku pana strzeże, jeszcze pana tego kocha i po rękach liże.

Powiedział pani — „pójdę w konduktory”, ale teraz, w tej chwili, myśleć o tym nie mógł. Dławił się własną żalością.

Nerwy tego chłopca zalkoholizowanego tańczyły piekielną sarabandę<sup>17</sup> bezsilnej rozpacz.

Gdyby mógł się rozplakać, byłoby mu lżej. Lecz nie, łzy go piekły, były w nim całym, rwały mu serce, paliły powieki, płynąć mu jednak nie chciały.

„Bydlę”... cierpiało.

Po chwili przecież Janek ocknął się, zbliżył się do tapczanu i szalonym ruchem zdarł

---

<sup>17</sup>*sarabanda* — szybki taniec hiszpański. [przypis edytorski]

ze ściany gobelin. Profitka, fotografie upadły na ziemię. On schylił się, podniósł je, wetknął za pazuchę, potem podszedł do kantorka, wyjął całą masę gazet i w gobelin zawinął. Czynił to machinalnie, gryząc wargi. Zwrócił się po ubranie, które wisiało na gwoździach wbitych w ścianę, lecz machnął ręką i tylko tłumok z gazetami pod pachę wziął, czapkę na głowę nasadził.

Wreszcie z kredensu wyszedł.

Przeszedł pod lipami i wydostał się na trawniki. Słońce znów zachodziło całe krwawe, na wiatr się znacząc. Staw w ciszy i w obramowaniu oczeretu drzemał, a nad jego brzegiem, na pagórku, brzoza dziwaczna i pokręcona długie gałęzie w wodzie rozpaczliwie moczyła. Janek machinalnie do stawu się skierował i czółno odszukawszy, gobelin z książkami na dno czółna cisnął. Po czym sam w łódź wlaź i drąg chwycił. Zdawało mu się, że idzie gdzieś w daleką drogę, a ten drugi brzeg nigdy nie trąci o drzewo czółna. Drżącymi rękami drąg pchnął i na staw wypłynął.



Cisza była dokoła prawie kościelna.

Janek szmer wody tylko słyszał, która się skarżyła cicho na ciężar, jaki jej nieść kazano.

I nagle, z daleka, delikatny, jakby krepą przysłonięty, daje się słyszeć głos kołatek i przeciągły jęk pastuchów.

Serce Janka, które było w tej chwili jedną raną, targnęło się jeszcze silniej, i codzienna melancholia, tłocząca go ku ziemi, wżarła się w boleść rozstania z tym, co już za swoje przywykł uważać, go się z nim zrosło, z czym umrzeć miał...

Przed nim bielił się dwór, nieduży, silny, dobrze rozłożony na tle masy drzew. Z boku widać było ganeczek i wejście do kredensu. Do kredensu!...

I nagle porwał Janka szął.

Schwycił gobelin i cisnął go w wodę.

— Szczeńnij — zasyczał przez zęby.

Gobelin zakołysał się na wodzie i pozostał tak rozciągnięty, prezentując w świetle krwawego słońca wypłowiałą barwę delikatnych linii.

Janek drągiem gobelin w wodę zanurzać zaczął.

— Szeźnij!... — syczał.

Był cały teraz czerwony, z sinymi pręgami żył po obu stronach skroni. Z serca krew mu płynęła na mózg zatruty siwuchą. Pijany był w tej chwili, pijany rozpaczą.

Za nim wciąż kołatki grały.

Teraz pochylił się, cały stos „Tygodnika” w wodę wrzucił. Woda prysnęła miałą masą, łódka zachybotła, Janek nogą w ścianę czołna kopnął.

— Na pohybel<sup>18</sup> ci! — zaklął.

Nie dokończył, bo czołno się gwałtownie przechyliło, a on z dziką radością, po raz pierwszy w życiu roześmiany serdecznym, gorącym śmiechem, w wodę skoczył, waląc się głową naprzód, tak jak zwyczajnie na swój tapczan w kredensie się walił.

---

<sup>18</sup>*Na pohybel* (rus.) — zgiń! [przypis edytorski]

Teraz kołatki triumfalnie wypłynęły nad brzeg stawu i dzwoniły ciągle mistyczną litanie w obłoku białym z ziemi się wznoszącym.

Na stawie była cisza zupełna i kołysało się tylko próżne czółno, które powoli wróciło do swej równowagi...

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3.

Fundacja Nowoczesna Polska zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony:  
<http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/menazeria-ludzka-bydle>

Tekst opracowany na podstawie: Gabriela Zapolska, *Menażeria ludzka*, Kantor Wydawniczy SAWW, Poznań 1994.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów Pauliny Choromańskiej. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Paulina Choromańska, Paweł Kozioł, Wojciech Kotwica.

Okładka na podstawie: *Małpa z bukiecikiem fijołków*, Gabriel Max (1840-1915), domena publiczna

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przeznacz 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Dobrym pomysłem jest przekazanie darowizny na rzecz Biblioteki Wolnych Lektur i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przeznacz darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji.